

LENA M. BIELSKA

We're Just
ENEMIES

On poprzysiągł jej zemstę,
ona nie zamierza się przed nią bronić.



Copyright © 2024
Lena M. Bielska
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Dominika Kalisz

Maria Klimek

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-357-3

LENA M. BIELSKA

**WE'RE JUST
ENEMIES**

OŚWIĘCIM 2024

Od Autora

Historia Charlie Walker i Reeda Westa jest jednotomową, zamkniętą opowieścią, w której to nie romans gra pierwsze skrzypce, a przede wszystkim konsekwencje, jakie niosą za sobą dokonane czyny. To książka o dwójce młodych ludzi, którzy w trakcie wchodzenia w dorosłość podjęli kilka niewłaściwych decyzji mających ogromny wpływ na ich przyszłość.

We're just enemies jest częścią uniwersum Arkansas. Przed przeczytaniem tej powieści polecam sięgnąć po poprzednie książki z tego świata, ale nie jest to konieczne, aby zrozumieć fabułę.

Niemniej, poniżej załączam chronologiczną kolejność czytania, która pomoże uniknąć ewentualnych spoilerów:

We're just friends – Violet Donovan x Ace Walker

Pan Drake – Holly Hudson x Dexter Drake

Pan West – Scarlett Sharp x William West

Pan Carter – Phoenix Pearce x Cade Carter

Dla każdego, kto kocha wątpliwie moralnych bohaterów

Prolog



REED

Dwa lata wcześniej

Wyrzuciłem niedopałek i przydepnąłem go ciężkim butem. Od-
kład pojawiłem się przed domem otoczonym białym płótem, na-
wet na moment nie oderwałem spojrzenia od okna. A właściwie
od blondynki siedzącej na parapecie w jednym z pokoi na pierw-
szym piętrze.

W skupieniu czytała książkę. Nie interesowała się nikim ani
niczym. Ani razu nie odwróciła wzroku od kartek. Była tak spo-
kojna i obojętna na wszystko, co się wydarzyło i do czego do-
prowadziła, że z każdą chwilą jej utrzymującej się nonszalancji
wzbierała we mnie jeszcze większa złość, a pragnienie zemsty
rozpalało od środka jak pieprzona zapałka opary benzyny.

Rozluźniłem zwinięte w dłonie pięści – nawet nie wiem, kie-
dy je zacisnąłem – i wyciągnąłem z kieszeni telefon, żeby po
chwili wystukać krótką wiadomość. A potem obserwowałem,
jak dziewczyna sięgnęła po komórkę. Ekran oświetlił jej nieska-
zitelną twarz, podczas gdy skoncentrowana odczytywała mój
SMS. Patrzenie na to, jak urządzenie wyslizgnęło jej się spomię-
dzy palców, było cholernie satysfakcjonujące, ale ani trochę nie
uciszyło pragnienia pogrążenia tej małej dziwki i zniszczenia jej
życia.

To dopiero początek.

Ja to wiedziałem.

I ona teraz już też była tego świadoma.

„Wiem, że Ty za tym stoisz. Zniszczę Cię, Charlie Walker. Odliczaj dni do mojego powrotu”.

1. Czyny zawsze niosą za sobą konsekwencje



CHARLIE

Mój tata – odkąd tylko pamiętam – powtarzał mi, że to, jak widzą nas inni, to jedno, ale to, jacy jesteśmy naprawdę, to coś zupełnie innego. I właśnie to drugie powinno być dla nas najważniejsze. Niejednokrotnie powtarzał – i dalej powtarza – że liczy się nasze wnętrze, a nie kreujące nas pozory. Tak więc nic dziwnego, że od dwóch lat nie potrafię spojrzeć mu w oczy w momentach, w których oznajmia, jak bardzo jest ze mnie dumny. Jak bardzo cieszy się, że wyrosłam na młodszą wersję mamy. Bo on widzi kłamstwo. Nie ma pojęcia, że to, co pokazuję, jak się przy nich zachowuję, to założona przeze mnie maska idealnej Charlie. Dwudziestolatki, która prędzej odrąbałaby sobie rękę, niż postanowiła kogoś skrzywdzić.

I ja miałabym kiedykolwiek komukolwiek przyznać się do tego, co zrobiłam?

Na samą myśl o wyjawieniu prawdy robi mi się niedobrze, a na żołądku boleśnie zaciska się niewidzialna pięść do złudzenia przypominająca dłoń Reeda Westa. Chłopaka – niegdyś mojego dobrego znajomego – pozostawionego przeze mnie wilkom na pożarcie. Nawet się nie zawahałam, gdy zniszczyłam mu życie. I tylko ja wiem, jak wiele łez przez to wylałam, katując się widokiem SMS-a, którego mi wysłał, zanim zniknął z Fayetteville.

„Wiem, że Ty za tym stoisz. Zniszczę Cię, Charlie Walker. Odliczaj dni do mojego powrotu”.

Jeśli nauczyłam się czegoś w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu miesięcy, to tego, że Westowie zawsze dotrzymują słowa i nigdy nie poddają się w dążeniu do celu. Wiem, że czas powoli mi się kończy i wkrótce będę musiała stawić czoła przeszłości, ale mam nikłą nadzieję, że to nie nastanie. Że może, ale tylko może, Reed jednak odpuści i zostanie tam, gdzie spędził ostatnie dwa lata – gdziekolwiek to było.

Przymykam powieki i pocieram dłońmi twarz, parszkając cicho na cholernie naiwne myśli. Reed nie odpuści. Jestem tego pewna tak bardzo jak tego, że mój tata prędzej by wykitował, niż pozwolił mi poprowadzić swój motocykl. Bestyjka jest nietykalna.

Znam matkę Reeda, przychodzi czasem do nas do domu na luźne pogaduszki i ta kobieta to niemal dosłowna definicja diabła. Nie mam pojęcia, jakim cudem tak świetnie dogadują się z moją mamą, ale zapewne ma to coś wspólnego z tym, że od kilku lat pracują w jednej kancelarii. Być może połączyła je walka o ofiary przemocy.

Jęczę do siebie i przekręcam się na brzuch, po czym wciskam twarz w poduszkę i wydaję z siebie zduszony krzyk. Nienawidzę natrętnych myśli kotłujących się w mojej głowie. Nie potrafię ich wyciszyć. Znowu. Naprawdę staram się to zrobić, próbuję myśleć o tym, jak miło spędziłam dziś dzień w towarzystwie Coreya, mojego trzynastoletniego brata, ale to kompletnie na nic. Przed oczami – po raz kolejny tej nocy – staje mi wykrzywiona z wściekłości twarz Reeda. Zdaję sobie sprawę z tego, że to wytwór mojej wyobraźni, bo tak naprawdę nigdy nie widziałam go aż tak wyprowadzonego z równowagi, ale... jego ściągnięte gniewnie brwi oraz jasne, niemal stalowe i zionące chłodem oczy wydają się cholernie prawdziwe.

Siadam gwałtownie, wyprostowana jak struna, i spoglądam w stronę okna, a potem wyglądam na podjazd, na którym stoi moja ukochana czarno-fioletowa yamaha. Trzy przyspieszone

oddechy później, a ja już wciągam na siebie kombinezon, uważając przy tym, żeby nie narobić zbyt wielkiego hałasu.

Oczywiście mogłabym wyjść jak człowiek frontowymi drzwiami, moich rodziców raczej by to nie zdziwiło, ale bez wątplenia zaczęliby zadawać milion pytań o to, co się stało albo – ogólnie – co się dzieje. Zdecydowanie wolę tego unikać – tylko dlatego odblokowuję zamek w oknie. A właściwie zamierzam to zrobić, ale kiedy go dotykam, metalowy zatrask rozlatuje mi się pomiędzy palcami. Łapię go dosłownie w ostatniej chwili – ułamek sekundy później, a spadłby na metalowe pudło leżące na podłodze i zapewne obudziliby nawet zmarłego.

– Kurde – szepczę do siebie, próbując naprawić blokadę, ale to na nic.

Przesuwam palcem po wyżłobieniu i wzdycham cicho. Drewniana rama jest uszkodzona, więc nawet jakbym bardzo chciała, nie udałoby mi się wymienić samego zatrasku. Tata w wolnej chwili będzie musiał podmienić jedną część skrzydła.

Z oddali dociera do mnie ryk motocyklowego silnika i to właśnie on sprawia, że wracam do rzeczywistości. Zaczyna robić mi się zbyt gorąco w kombinezonie. Przez chwilę zapomniałam, że mam go już na sobie – tak bardzo porąbany mam umysł.

Wsuwam na głowę kask, zapinam go pod szyją i siadam bokiem na parapecie. Przerzucam najpierw jedną nogę na zewnątrz, a potem schylam się, uważając, żeby nie walnąć głową o okno, i dokładam drugą. W zębach trzymam rękawiczki, a palce zaciskam mocno na brzegu deski. Wypuszczam spomiędzy warg powietrze, zanim sprawnie skręcam ciało i powoli ześlizguję się tyłkiem z parapetu. Ciężar ciała ciągnie mnie w dół, ale bez problemu potrafię się utrzymać na rękach – ważę czterokrotnie mniej niż yamaha, więc to żaden wyczyn.

Zanim pozwalam sobie na kontrolowany upadek na trawnik, ponownie wypuszczam spomiędzy warg pełen napięcia oddech. Nie zliczę, ile razy uciekałam z domu przez okno, żeby pojeździć

w nocy po pustych ulicach miasteczka, ale to wcale nie oznacza, że gdzieś tam nie nawiedzają mnie natrętne myśli, iż mogłabym się połamać.

Znikają jednak w tej samej chwili, w której moje nogi stykają się z trawnikiem. Upadam, podtrzymując się dłonią dla stabilności, i uśmiecham do siebie głupkowato. To musi zajebiście zabawnie wyglądać – dziewczyna w kombinezonie i czarnym kasku z czarną szybką wyskakująca z okna pierwszego piętra.

Gdy tylko uspokajam bicie serca, ruszam żwawym krokiem w stronę motocykla. Przerzucam przez niego nogę, wsuwam kluczyk do stacyjki i chowam stopkę. Nie zamierzam uruchamiać silnika pod domem. Moja rura wydechowa jest zbyt głośna. Dlatego popycham tę ponad czterystofuntową bestię, zapieram się nogami i drepczę powoli – niemalże w miejscu – wyprowadzając ją z podjazdu.

Jeszcze tylko trochę, jeszcze tylko kilka kroków. Wystarczy, że dotrę do krzyżówki i będę mogła ruszyć z kopyta. Jest mi gorąco i już zdążyłam się spocić, ale to zdecydowanie nie przeszkodzi mi w szarżowaniu po pustych uliczkach Fayetteville.



Z każdą przejechaną milą odczuwam coraz większy spokój. Szum wiatru i wibracje silnika wprawiają mnie w cudowny stan rozluźnienia. To zabawne, bo im bardziej mój umysł się wycisza, im mniej myślę, tym mocniej zaciskam dłonie na kierownicy. Z jednej strony rozluźnienie, a z drugiej... napinanie mięśni.

Nie jestem szurnięta, nie jeżdżę po osiedlowych uliczkach, tylko po terenach przemysłowych, gdzie o tej porze na próżno szukać samochodów na drogach czy ludzi na chodnikach. Okolica wygląda bardziej jak wymarłe, zapomniane miasto, podczas gdy za dnia tętni życiem i nie ma skrawka asfaltu na poboczu,

na którym nie stałoby jakieś auto. Niemniej i tak nie przeginam z prędkością. Nie chcę się zabić – zupełnie nie o to mi chodzi.

Dojeżdżam do końca drogi i zawracam tuż przed zjazdem na szutrową drogę prowadzącą donikąd. Przez chwilę stoję w miejscu, rozglądając się uważnie po budynkach, a gdy dalej nikogo nie widzę, wrzucam bieg i ruszam przed siebie. Opór powietrza zwiększa się z każdą chwilą, a ja bardziej pochylam się nad motocyklem. Nie mam pojęcia, ile już tak jeżdżę po mieście, ale mięśnie w całym ciele coraz bardziej dają mi się we znaki. Zaraz będę musiała wracać, bo inaczej jutro zdechnę w pracy, a czeka mnie ośmiogodzinna zmiana w kawiarni.

Zwalniam przed ostatnim skrzyżowaniem i skręcam w prawo, a zaledwie sekundę później, gdy zaczynam już przyspieszać, orientuję się, że z naprzeciwka nadjeżdża motocykl. Ściągam brwi w zamyśleniu, bo nie kojarzę nikogo w Fayetteville, kto miałby czarne kawasaki. Doskonale rozpoznaję maszynę po światłach. Serce gwałtownie mi przyspiesza, bo do głowy nagle wpada myśl, że to Reed. Nie mam pojęcia, skąd ten pomysł, ale... To możliwe, prawda?

Szybko jednak sływa po mnie ulga, bo motocyklista odrywa rękę od kierownicy i klepie nią w kask. Puszczam manetkę i dziękuję mu uniesieniem dłoni, jednocześnie zwalniając. Nie widzę, gdzie miałyby stać patrol policji, ale pewnie schowali się za którymś z budynków. Niemniej – gdyby to był Reed, na pewno nie ostrzegłby mnie przed drogówką, prędzej podjudziłby do wyścigu, żeby została ukarana.

Radiowóz mijam dwie przecznice dalej. Funkcjonariusz mierzy moją prędkość, a kiedy go mijam, nie wygląda na pocieszonego. Uśmiecham się do siebie i gdy tylko znikam mu z oczu, dodaję gazu.

Kocham nocną jazdę. Jest bardziej oczyszczająca i uspokajająca niż alkohol, fajki czy jakakolwiek inna używka. Równie jednak niebezpieczna – jak w sumie wszystko, co wpadłoby w ręce

nieodpowiedniej osoby. Nawet z plastikowego widelca da się zrobić broń.

Ostatnie mile pokonuję już spokojnie, bez szaleństw. Zatrzymuję się na czerwonym świetle i prostuję plecy, jęcząc cicho. Cholera, przegięłam dziś pałę. Najwyraźniej wcześniejsza wizyta na siłowni i teraz wymuszona, niezbyt wygodna pozycja nie były najlepszym pomysłem.

Zerkam w lusterko, gdy do moich uszu dociera ryk silnika. Unoszę brew na widok kawasaki zatrzymującego się tuż obok mnie i przenoszę wzrok z czarnego lakieru maszyny na kask motocyklisty. Szybka jest czarna i nie jestem w stanie dostrzec twarzy mężczyzny, ale i tak nie odrywam spojrzenia od miejsca, w którym muszą znajdować się jego oczy. Nie mam pojęcia dlaczego, ale nie potrafię tego zrobić. Po prostu gapię się na niego i dopiero zmiana światła na zielone sprawia, że wyrywam się z chwilowego otępienia.

Ruszam.

A on razem ze mną.

Przyspieszam.

On również.

Jedzie niby na równi z moją yamahą, ale co jakiś czas wyrywa maszynę do przodu, jakby próbował mnie podjudzić do wyścigu.

Zaprzeczam, gdy znowu się ze mną zrównuje, na co przechyliła lekko głowę. Odnoszę wrażenie, że się przy tym uśmiecha.

I znowu wyrywa do przodu.

Robi tak, aż nie dojeżdżamy do kolejnego skrzyżowania.

– Nie zamierzam się ścigać! – krzyczę, kręcąc szybko głowę.

Unosi dłoń, zwija ją w pięść i porusza nią przy szybcie, kręcąc nadgarstkiem, jakby sugerował płacz. Parskam na to śmiechem. Kimkolwiek ten mężczyzna jest, najwyraźniej ma poczucie humoru.

– Może innym razem!

Zwiesza głowę i pewnie gdyby uniósł szybkę, zauważyłabym, że wywinął przy tym wargę. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Chcę go zapytać, czy jest stąd, bo nie kojarzę jego motocykla, ale zanim zdolałam się ponownie odezwać, światło się zmienia i koleś wyrywa przed siebie jak z procy. Przez ułamek sekundy mam ochotę zrobić dokładnie to samo, ale w oddali rozbłyskują policyjne koguty i to skutecznie zabija moje chęci.

Wracam grzecznie do domu, jednak przez całą drogę zastanawiam się, czy mój nowy znajomy uciekł policji, czy zjechał na pobocze i przyjął mandat. Aczkolwiek przeczucie podpowiada mi, że ulotnił się, zanim zdolałiby sczytać jego numery rejestracyjne.

O ile w ogóle jakieś miał.

Kiedy kilkanaście minut później przekręcam się na bok w swoim łóżku, z oddali znowu dociera do mnie ryk motocyklowego silnika. Zasypiam przy jego odgłosie, który zamiast się coraz bardziej oddalać i cichnąć, nabiera na sile...